

ZAWÓD

Krzysztof Ingarden, architekt (dyplom WA PK 1982, doktorat 1987), współzałożyciel pracowni Ingarden & Ewý Architekci. Pracował w biurze Araty Isozakiego w Tokio, a także w J.S. Polshak & Partners w Nowym Jorku. Kurator wystaw związanych z polską architekturą, autor i współautor kilkudziesięciu projektów, m.in. Małopolskiego Ogrodu Sztuki, muzeum Manggha, pawilonu Wyspiański 2000 i powstającego Centrum Kongresowego w Krakowie

Krzysztof Ingarden

ARCHITEKT

CHOĆ LAWINOWO
WZROSTA LICZBA
DOBRYCH REALIZACJI,
POLSKA ARCHITEKTURA
JEST WCIĄŻ POMIJANA
W OBIEGU GLOBALNYM.
ANGAŻUJĘ SIĘ W
DZIAŁANIA, KTÓRE
MOGĄ TO ZMIENIĆ

na każdym kroku: o pomysły, karierę, przeforsowanie swoich pomysłów, o indywidualny sukces i życie prywatne. Doświadczenie tych dwóch, skrajnie różnych sposobów pracy pomogło mi wypracować pewien potrzebny dystans i zbadać, co przynosi najlepsze efekty. W naszym przypadku jest to partnerska współpraca, moja i Jacka Ewý, która trwa od czasów studiów. Nasz zespół, zależnie od liczby i rozmiarów zleceń, liczy od około 10 do 30 osób. Tak się szczęśliwie złożyło, że z Jackiem bardzo dobrze nam się współpracuje, jesteśmy inni, ale uzupełniamy się. Lubimy też nasz zespół i nasze biuro w zabytkowej kamienicy z 1903 roku – może nie zapewnia wszelkich wygód, ale praca w tym starym wnętrzu, z kaflowymi, secesyjnymi piecami i skrzypiącymi podłogami, odpowiada nam.

Od początku za cel postawiliście sobie specjalizację w obiektach kultury i sztuki?

Tak, i szybko przekonaliśmy się, że są to projekty, które wymagają autorskiego, głębokiego podejścia, pomysły muszą przez długi czas dojrzewać i rozwijać się. Na dowód powiem, że nad Pawilonem Wyspiański 2000 pracowaliśmy dziesięć lat, nad muzeum Manggha 8, a nad Małopolskim Ogrodem Sztuki 7 lat. Architektura to rodzaj walki o ideę i jakość, którą architekt widzi w wyobraźni, a wszystko po drodze zdaje się przeszkadzać. Idea może zagubić się w niewłaściwej komunikacji między ludźmi, w procesach administracyjnych i prawnych, nie mówiąc już o problemach realizacyjnych. Na każdym etapie o ten pomysł walczymy osobiście – przy powstawaniu szkicu i na placu budowy. Dobra współpraca w zespole i zrozumienie celów w takim procesie jest zasadnicza. Jednak nie ograniczamy się do użyteczności publicznej, realizujemy też projekty mieszkaniowe, obiekty przemysłowe i komercyjne. Ta wielotorowość pozwala nam rozwijać się i utrzymywać na rynku.

Nie tylko za sprawą projektowania działa Pan na polu kultury, był Pan też organizatorem różnych wydarzeń, kuratorem wystaw. Na czym Panu najbardziej zależy w tej działalności?

Angażuję się w projekty wystaw integrujące nasze środowisko architektoniczne i popularyzujące polską architekturę, która według mnie jest cały czas pomijana w obiegu globalnym. Liczba dobrych realizacji w Polsce rośnie lawinowo, nie ma to jednak jeszcze odzwierciedlenia w świadomości społecznej ani w Polsce, ani za granicą. Widać to chociażby w zagranicznych magazynach, które bardzo rzadko prezentują polskie projekty, zdecydowanie niewystarczająco w stosunku do tego, ile dobrej architektury tu powstaje. To dziedzictwo okresu komuny, kiedy w stronę architektury naszego kraju, a także krajów bloku wschodniego, pod tym kątem się nie patrzyło. Moje działania na tym polu wynikają z przekonania, iż dobra polska architektura modernizmu, a także współczesna, są warte dostrzeżenia i uznania.

ROZMAWIAŁA **URSZULA BIENIECKA**

Pańskie pierwsze doświadczenie zawodowe to praca u Araty Isozakiego, tuż po studiach. To czas, kiedy kształtują się poglądy, wrażliwość. Jak Pan ocenia wpływ tego etapu na swoją dzisiejszą pracę?

Japonia – to była moja „wielka podróż”. Poznałem świat, który składał się z zupełnie nowych zapachów, form, kształtów, znaczeń i relacji międzyludzkich. Musiałem skonstruować sobie nową mapę świata, przyswoić i zrozumieć tę inność, która jednocześnie zmieniała mój słownik, postrzeganie odcieni, form architektonicznych i nie tylko. Japonia, poza tym młodzieńczym zachwytem, była miejscem, gdzie zostałem wprowadzony w zawód architekta – w biurze Araty Isozakiego w Tokio. Było to wspaniałe miejsce, działające raczej jak pracownia artystyczna, w której jest mistrz i jego uczniowie. Arata angażował się nie tylko w pracę nad projektami, ale dbał także o rozwój każdego z architektów. Stawiał im zadania na wyrost, zadawał trudne tematy, ale nie pozostawiał nikogo samemu sobie. W pewnym momencie wracał i gdy widział, że architekt idzie w złą stronę, szkicował na kalce dalszy krok, korygował w łagodny, prosty sposób, ale potrafił też docenić indywidualny talent. To była pozytywna motywacja – relacja polegająca na zaufaniu i obustronnej wymianie – my chcieliśmy pracować dla niego jak najlepiej, ale i on dawał nam coś od siebie, inspirował.

Na podobnych zasadach chciał Pan zbudować biuro?

Zawsze fascynowała mnie Japonia i tamtejszy sposób pracy stanowił dla mnie wzór, ale oczywiście nie ze wszystkim się zgadzałem. Pytałem swoich kolegów z japońskiej pracowni: dlaczego nie zdecydujecie się na dyskusję z Isozakim? Nie zaproponujecie własnych rozwiązań? Przecież z tego może powstać nowa wartość. Odpowiadali mi, że gdyby tak zrobili i mieliby rację, to znaczyłoby, że już dojrżeli jako architekci i powinni założyć własne biuro. Dziwiłem się, ponieważ bardzo często dobre rzeczy rodzą się w dyskusji. Jakiś czas później pracowałem w biurze Jamesa Polsheka w Nowym Jorku, gdzie wszystko było na odwrót. Konkurencyjna walka toczyła się



FOT. PIOTR PIĄTEK \ SUN-MEDIA

